

FRAGMENT

KACPER KOTULA



Początek  
**HOT-DOGI**  
Koniec



Początek  
HOT-DOGI  
Koniec

Copyright © by Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba sp.j.

Copyright © by Kacper Kotulak

Wrocław 2018

*Wszelkie prawa zastrzeżone.*

*All rights reserved.*

Korekta i redakcja:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

KAMILA ŚWIĄTKOWSKA

JUSTYNA MASERAK

Skład:

DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Okładka:

PRZEMYSŁAW RYBA

fragment książki

Wydanie I

*Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana  
w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób, włącznie  
z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów,  
bez pisemnej zgody wydawcy.*

Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp. j.

ul. Domeyki 16 53-209 Wrocław

www.gmork.pl

email: wydawnictwo@gmork.pl

tel: 795 626 546

**KACPER KOTULAK**

Początek  
**HOT-DOGI**  
Koniec



## ROZDZIAŁ 0

Kolana to naprawdę zadziwiająca sprawa, choć mało kto to sobie uświadamia. Przynajmniej do momentu, gdy nocą zawadzi się o kant szafki lub gdy w kulminacyjnym punkcie bójki trzeba odwrócić jej losy celnym kopniakiem w newralgiczny punkt przeciwnika. Ale zawsze można też na kolana po prostu upaść – tak jak na przykład Bas Koolpa. W jego przypadku nie miało to jednak podłoża ani sakralnego, ani romantycznego. Tak się składa, że żył w świecie opuszczonym przez Boga i całkowicie pozbawionym miłości – w dużej mierze za sprawą kilkudziesięciu głowic termonuklearnych, które kilkadziesiąt lat wcześniej postanowiły wypalić z oblicza świata wszystkie uczucia głębsze od rozpaczliwej woli przetrwania.

Z drżącej dłoni mężczyzny wypadła poślizgnięta kartka. Na samej jej górze znajdował się nieco wyblakły napis: „Operacja »Dzień Sądu 2.0«, kody dezaktywacyjne”. W szklistych oczach Basa odbijała się wielka chmura w kształcie grzyba. Nagle wyczulone ucho niedosłzłego zbawcy resztek świata pochwyciło dźwięk. I nie był on związany z nieuchronnie nadchodzącą falą uderzeniową. Obok Basa stanął mężczyzna w nienagannym garniturze i z neserem w dłoni – widok spóźniony o jakieś czterdzieści lat. Koolpa patrzył na niego przez chwilę zupełnie bydlęcym wzrokiem.

– Całkiem niezły kawałek zagłady, nie uważa pan? – Gość uśmiechnął się z zadowoleniem.

Bas Koolpa zapatrzył się znów w śmiertelny grzyb. Fala uderzeniowa była już bardzo niedaleko. W tej chwili wydawała się dużo istotniejszą kwestią niż jakiś wariat w garniturze i z neserem.

## ROZDZIAŁ 1

Mówią, że jak nie wiadomo, od czego zacząć, to najlepiej zacząć od początku. A zatem na początku było Słowo. Tyle że brzmiało ono „CHAOS”, co nie wróżyło zbyt dobrze na przyszłość. Zanim jednak Słowo doszło do wniosku, że nie jest to dla niego najlepsze brzmienie, musiało upłynąć sporo... czegoś – trudno właściwie powiedzieć, czego, jako że czas jeszcze wtedy nie istniał. Coś jednak na pewno upływało i bez wątpienia było to coś bardzo przedwiecznego. W każdym razie mijało sobie spokojnie, a Słowo dochodziło powoli do w miarę sensownych wniosków. W międzyczasie coś się przepaliło... Trzasnęło, huknęło i nagle pojawił się wszechświat. Było to sporym zaskoczeniem – głównie dla samego wszechświata. To w końcu dość niecodzienna sprawa, żeby ot tak z niczego stać się nagle niezliczoną mnogością galaktyk, gwiazd, planet i innych dziwactw.

A Słowo zobaczyło, że to wszystko było... koszmarnie nudne. Mniej więcej w tej samej chwili, gdzieś w odległym zakątku młodego wszechświata, przypadkowy zlepek atomów, dryfujący w zawieszistej prazupie, zupełnie nie zdając sobie sprawy z konsekwencji, połączył się z innym przypadkowym zlepkiem atomów. Pomysł szybko się przyjął i wkrótce, po raz pierwszy w historii pojawiło się coś w rodzaju mody. Coraz bardziej skomplikowane przypadkowe zlepki atomów nawet nie zorientowały się, kiedy wykształciły organy wewnętrzne, okiełznały ogień i zaczęły masowo wytwarzać telefony komórkowe z obsługą dzwonek polifonicznych.

Wiele można powiedzieć o wszechświecie po pojawieniu się zjawiska zwanego powszechnie życiem, ale na pewno nie był już więcej nudny. Co to, to nie...

\*\*\*

Gdzieś na rubieżach cywilizowanego wszechświata znajduje się stosunkowo niewielka i mało znacząca bryłka krzemu, nazwana przez jej mieszkańców Ziemią. Jest to całkiem standardowy świat. Kształtem – przynajmniej z daleka – przypomina kulę, ale od dołu wcale nikt nie spada, co bardzo dziwiło miejscowych uczonych jeszcze przed kilkoma wiekami. Co więcej, tak się akurat składa, że w momencie, w którym widzimy Ziemię, ta znajduje się właśnie na krawędzi zagłady. Wielu miejscowych naukowców, filozofów, proroków i zwyczajnych głupków snuło mnóstwo teorii na temat końca świata. Nadciągająca katastrofa nie jest jednak spowodowana tym, że Bogu-Słońcu skończyła się krew z ofiar, żadne wrogie armie tytanów nie wyruszyły do ostatecznego boju, żaden złośliwy władca podziemi nie upomniał się o swoje, postanawiając przy tym unicestwić wszystko dokoła...

Całe zamieszanie spowodowane zostało przez całkowicie zwyczajny i zupełnie niezłośliwy kawał skały. Podróżował przez przestrzeń już dosyć długo i nie miał żadnych specjalnych planów związanych z Ziemią. Po prostu bardzo dawno i bardzo daleko stąd, pewna planeta miała wielkiego pecha. Nie ma sensu zagłębiać się teraz w szczegóły i dopytywać, kto kogo pierwszy zdenerwował i kto komu wygarnął z superdziała jonowego. Ważne, że jedna z ostatnich pozostałości sporu leci właśnie w kierunku Ziemi z zawrotną prędkością i jednego można być pewnym – spotkanie na pewno nie będzie miłe.

Oczywiście pewna ziemska nacja, powszechnie znana z aspiracji do ratowania planety przed końcem świata, wysłała misję, mającą na celu – jak to ujął podczas odprawy podstarzały generał z cygarem w zębach i z okularami przeciwsłonecznymi na nosie –

rozpirzenie tej przeklętej asteroidy w drobny mak. Jednak na obserwowanie losów obrońców Ziemi i ostatniej nadziei ludzkości przyjdzie jeszcze pora. Warto zerknąć co się dzieje na powierzchni planety – taka szansa może się nie powtórzyć...

\*\*\*

To co działo się na ulicach perły miast – Nowego Jorku – można by wziąć za całkiem zwyczajny piątkowy poranek. Tyle że zawierało stanowczo zbyt mało zabieganych, dobrze ubranych biznesmenów, a za dużo zamieszek i plądrowania wszystkiego, co akurat się nawinęło. Najwyraźniej ludzie zrozumieli, że misja ratunkowa nie poszła zbyt dobrze, punkcik na niebie, rosnący z każdą chwilą, prawdopodobnie przywali jednak w Ziemię i w związku z tym nadeszły ostatnie chwile, by się obłowić. To dość tajemnicza kwestia, dlaczego w obliczu nieuchronnej zagłady, spora część ludzi zawsze oddaje się plądrowaniu sklepów ze sprzętem elektronicznym – tak, jakby nowy telewizor lub wieża stereo mogły rozwiązać problem.

W całym tym preapokaliptycznym chaosie można było znaleźć jedną, jedyną ostoję spokoju. Znajdowała się mniej więcej w centrum miasta, przy skrzyżowaniu ulic, których nazw ze względu na okoliczności nie warto chyba wymieniać i składała się w dużej mierze z budki z hot-dogami. Handlarz niecodziennymi przeżyciami kulinarnymi, który z pewnych powodów nazywał się Sinus Pi Czwartych, jak gdyby nigdy nic czyścił ruszt. Klienci i tak całkowicie stracili zainteresowanie jego ofertą. Nie miał im tego za złe. Trudno oczekiwać, żeby ludzie w obliczu nadciągającego nieuchronnie końca zawracali sobie głowę hot-dogami. Nawet z podwójną musztardą i prażoną cebulką. No, a ruszt się przecież sam nie wyczyści.

Po drugiej stronie lady, na barowym stołku siedział Xijn Jungroth. Popijał kawę z mlekiem i podwójnym cukrem z papierowego kubka, ale jego nie można było nazwać klientem. Był raczej kimś w rodzaju znajomego, który wpada do pracy,



by wypić kawę z mlekiem i podwójnym cukrem i pogadać o rozgrywkach sportowych. Tyle że Xijn Jumgroth był niepoprawnym biurokratą, który nigdy nie rozstawał się z garniturem oraz neserem i na pewno nie interesował się rozgrywkami sportowymi. Nie zwracał też większej uwagi na rozbrzmiewający w tle szum, który od rana stopniowo narastał. Był za to żywo zafascynowany nowym porządkiem społecznym, panującym na ulicach Nowego Jorku.

Tuż obok szyba sklepowa nagle przestała być szybą sklepową i zaczęła odkrywać zalety bycia kupą tłuczonego szkła. Zaraz przebiegła po niej grupka nastolatków podekscytowanych perspektywą zdobycia najnowszego sprzętu grającego. Ostatni z chłopców najwidoczniej posiadał już całkiem niezły, gdyż zamiast oddać się gorączce szabrowania, zatrzymał się przed niedawno powstałym wejściem do sklepu. Spojrzał w kierunku budki z hot-dogami i ruszył w jej stronę z uśmiechem na ustach.

– Ej, wujek! – krzyknął. – Wyskakuj z forsy. I z zegarka też.

Xijn spojrzał pytająco na Sinusa. Sprzedawca hot-dogów wzruszył ramionami, ale przerwał czyszczenie rusztu, przeczuwając, że zaczyna dziać się coś interesującego. Chłopak wyciągnął z kieszeni nóż. Xijn upił spory łyk kawy.

– Ja nie żartuję!

– To dobrze. To byłby bardzo marny żart. – Xijn odjął od ust papierowy kubek i spojrzał na chłopaka. Ale nie tak normalnie. Spojrzał na niego Wzrokiem. Wzrok jest prastarą i tajemną bronią, którą władają wszyscy adepci sztuki urzędniczej. Na ogół wymaga okularów w rogowych oprawkach i porządnego biurka zaopatrzonego w tabliczkę z nazwiskiem i nazwą departamentu. Xijn jednak miał niemałe doświadczenie i nie musiał nawet zerkać ponad krawędzią półokrągłych szkieł, by najbardziej hardy delikwent poczuł nagłą potrzebę rozluźnienia kołnierzyka. Chłopak z nożem nie miał najmniejszych szans. Nagle opanowało go dziwne zdenerwowanie. Gdzieś w głowie zabrzmiały mu takie hasła jak: „brak kserokopii dowodu tożsamości” i „niepełny komplet załączników”.

Przynajmniej połowę z tych słów słyszał po raz pierwszy w życiu. Zmieszany schował nóż do kieszeni.

– To ja wrócę później – wybąkał.

– Tak będzie najlepiej – Xijn uśmiechnął się z politowaniem. Młodyciany amator drogiego sprzętu elektronicznego oraz cudzych pieniędzy odwrócił się i ruszył przed siebie, nie zatrzymując się nawet przy wyskakujących ze sklepu kolegach obławianych telewizorami i wieżami stereo. Miał do przemyślenia parę spraw. Na przykład, gdzie znajdzie czynny punkt ksero.

Sinus wyciągnął z kasetki plik zielonych papierków, które widocznie nawet w obliczu śmierci, były dla ludzi szczególnie cenne. Przeliczył utarg. Niezbyt dużo, ale trudno się dziwić. W dniu takim jak dzień końca świata pora lunchu podlega zawieszeniu i drobni przedsiębiorcy branży gastronomicznej nie mają nic do gadania.

– Po co ci właściwie te pieniądze? – zagadnął Xijn, któremu trochę zaczynało się nudzić. – Żaden kantor przecież ci tego nie wymieni.

Sinus nie odpowiedział. Sam nie do końca rozumiał fenomen papierków z podobiznami dawno zmarłych gości, ale skoro wszyscy wokół byli gotowi walczyć o nie kłami i pazurami, to musiały mieć niebanalną wartość. Zresztą zarobił je uczciwie i czuł podświadomie, że do czegoś mogą się jeszcze przydać.

– Czemu nic nie mówisz? Ciągle się gniewasz o ten koniec świata?

Sinus nadal milczał. Faktycznie, ten cały armagedon ani trochę mu się nie podobał. Jak już wspomniano, takie rzeczy nie wpływają korzystnie na sprzedaż hot-dogów.

– Daj spokój. Wiesz przecież, że nic nie mogłem zrobić. Taką mam pracę. To nic osobistego.

Nagle w budce coś zapiszczało. Sinus zniknął na chwilę za ladą.

– Oho. Pilne wezwanie. Wybacz, Xijn. Wrócę po ciebie później.

– Co? Ale... – Zaczął Xijn, ale zanim zdążył zaprotestować, budka zniknęła z cichym pyknięciem. Jedynym śladem po obiekcie względnie gastronomicznym pozostał stółek barowy

stojący pośrodku chodnika. Czekał uprzejmie aż szanowny pan Jungroth zejdzie, choć był to ten rodzaj uprzejmości, który dopuszcza nerwowe potupywanie nogą i wymowne zerkanie na zegarek. Gdy namolny gość ruszył w końcu cztery litery, mebel czym prędzej dołączył do reszty zestawu.

– Co za dupek – mruknął osamotniony nagle Xijn. Był pewien, że Sinus specjalnie dał nogę i z pewnością spóźni się parę minut, żeby ukarać go za koniec świata. Jakby to była jego wina. A przecież on tylko wykonywał swoje obowiązki.

– No, trudno – wymamrotał pod nosem. Był w końcu przygotowany na taką ewentualność. Ułożył nesesor na chodniku i otworzywszy podwójny zamek szyfrowy, wy dobył zwitek czegoś, co wyglądało jak folia do pieczenia.

W pobliżu kilku ludzi przerwało radosne przywłaszczanie cudzego mienia i ze zdziwieniem obserwowało gościa pakującego się do foliowego worka. Parę całkiem niezłych telewizorów trzasnęło o płyty chodnika, gdy facet, sprawdzwszy uprzednio szczelność opakowania, zniknął. Po prostu – zniknął, jakby go nigdy nie było. Zaskoczenie przypadkowych obserwatorów nie trwało długo. Narastający cały czas szum przeszedł powoli w ogłuszający ryk. Asteroida była już naprawdę blisko.

## ROZDZIAŁ 2

Amerykanie już nieraz ratowali świat przed końcem świata. Wprawdzie zazwyczaj w amerykańskich filmach, ale zawsze... Życie to jednak nie bajka, a tym bardziej nie hollywoodzka superprodukcja, toteż dwaj Amerykanie – choć teraz raczej byli Amerykanie – mogli tylko biernie obserwować, jak potęga Stanów Zjednoczonych ulega bezdusznej natarczywości armagedonu.

– W sumie śmieszna sprawa, nie? – zagadnął komandor Bertleigh wpatrując się w ekran, ukazujący sceny, o których producenci filmów katastroficznych mogli tylko marzyć.

– Że co? – mruknął kapitan Wilkins, chwilowo zbyt zdolowany, by doszukiwać się powiązań między wyrażeniami „koniec świata” i „śmieszna sprawa”.

– No, bo mamy tu przecież tyle przycisków. Niektóre są od zupełnych pierdół. Na przykład ten jest od regulowania foteli. I działa. – Bertleigh na wszelki wypadek zilustrował swój wywód, bawiąc się oparciem fotela. – A nawalić musiał akurat ten najważniejszy. Od odpalania bomby, znaczy się. To całkiem zabawne, nie uważa pan?

Wilkins wcale tak nie uważał. Zagłada ludzkości nie mieściła się w żadnej znanej mu definicji zabawności.

– A wie pan, co jest jeszcze śmieszniejsze? – Wszystko wskazywało na to, że Bertleigh nie skończył jeszcze wykładu pod tytułem „humorystyczne aspekty zawalenia misji ratowania ludzkości”. Wilkins oczywiście nie wiedział. I prawdę mówiąc, nic go to nie obchodziło, ale Bertleigh i tak postanowił go uświadomić.

– Mogliśmy sprawdzić to, zanim odlecieliśmy z tej asteroidy. Wtedy jeden z nas, na przykład pan... albo ja... ale raczej pan, bo to pan jest w końcu dowódcą... No w każdym razie któryś z nas... Moglibyśmy zagrać w marynarza. Albo w papier, kamień, nożyce. No i ten, który by przegrał, zostałby i odpalił bombę ręcznie.

Wilkins ukrył twarz w dłoniach. Uświadomił sobie, że został w kosmosie sam na sam z idiotą, który nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Niezdawanie sobie sprawy z powagi sytuacji pozwoliło Bertleighowi przeżyć trzydzieści lat w całkowitej beztrosce i przez te trzydzieści lat niezłe wkurzało całe jego otoczenie. Wilkins pomyślał o dwóch pozostałych członkach misji ratunkowej: o Stakehousie, który koniecznie chciał udowodnić, że trzysta procent mocy to wcale nie za dużo dla świdra górniczego, a czarny dym buchający z rozpalonego silnika jest całkiem normalną sprawą, i o Hagermanie, który zawsze miał więcej szczęścia niż rozumu. Szczęście ostatni raz dało o sobie znać, gdy Hagerman wyleciał w powietrze – a raczej w próżnię – razem ze Stakehousem i uniknął tym samym dożywotniego, wyłącznego towarzystwa Bertleigha. Wilkins pożałował, że nie podzielił losu podwładnych. Postanowił jak najprędzej naprawić to niedopatrzenie.

Wiekowy generał O'Brien, który podczas odprawy nie omieszkał porównać śmiercionośnej asteroidy do Hitlera, Japończyków, Wietnamczyków, komunistów, nielegalnych imigrantów i bliskowschodnich terrorystów, na pewno poparłby tę decyzję, bredząc coś o honorze oficera. Tyle że generał, razem ze swoimi orderami za odwagę, teraz był pewnie nędzną kupką popiołu, a Wilkinsa niewiele obchodziło ratowanie honoru. Czyjegokolwiek. Ale na pewno nie zamierzał trwać w zamknięciu w metalowej puszcze z najprawdopodobniej ostatnim kretynem we wszechświecie. Problem w tym, że na pokładzie statku kosmicznego nie było nawet czym popęlić porządnego samobójstwa. Chociaż ponoć dla chcącego nic trudnego.

W którejś ze skrzyń z narzędziami powinien być pistolet na gwoździe. Wilkins nie wiedział wprawdzie, czy da się popęlić

samobójstwo za pomocą czegoś takiego, ale rzut oka w kierunku rozentuzjarmowanego Bertleigha podpowiedział mu, że warto spróbować.

Odpiął pasy i odepchnąwszy się od fotela, podryfował w przeciwną część kabiny, pełniącą funkcję magazynu. Walało się tu parę pudeł ze sprzętem, który okazał się absolutnie niepotrzebny, ale oczywiście żadne z nich nie zawierało czegoś takiego jak zapasowy detonator – tak na wszelki wypadek, jakby ten główny nawalił. Ale trudno, stało się. Zapasowego detonatora nie było, Ziemia przestała się liczyć w gronie planet zdolnych do życia, a Wilkins szukał teraz czegoś zupełnie innego.

– Panie kapitanie! – zawołał Bertleigh. Kapitan postanowił nie słuchać na wypadek, gdyby temu głupkowi udało się odkryć jeszcze coś zabawnego. Był zresztą zajęty. Otwarcie skrzyni z narzędziami wydaje się może zadaniem śmiesznie prostym, ale w stanie nieważkości, należy je rozpatrywać w kategoriach gimnastyczno-akrobatycznych.

– Panie kapitanie! Panie kapitanie! – Bertleigh spróbował wystawić głowę zza fotela, jednak astronautyczne wyposażenie nie przewidywało takich manewrów.

– Czego? – warknął Wilkins, usiłując opanować kilkanaście jardów kwadratowych brezentu, który do niczego nie był potrzebny, ale korzystając z chwilowej bezwładności, postanowił rozprostować nieco sploty.

– Ktoś chce chyba wejść na pokład.

– Co ty chrzaniisz?

– No, naprawdę. Niech pan sam zobaczy. Na zewnątrz jest jakiś facet. A może nawet kobieta... Nie widać dobrze.

Wilkins westchnął ciężko i zrezygnowany odepchnął się od skrzyni, pozostawiając kłęby brezentu na pastwę nieważkości. Dryfując z powrotem w stronę pulpitu sterowniczego, obiecał sobie, że jeśli to jakaś kolejna głupota Bertleigha, to na nim pierwszym wypróbuje śmiercionośne właściwości pistoletu na gwoździe. A jak ten kretyn wykrzyknie coś w stylu „ale pana zrobiłem”

albo „szkoda, że nie widzi pan wyrazu swojej twarzy”, to załatwi go choćby tym cholernym brezentem.

Samobójstwo komandora Bertleigha musiało jednak zostać odłożone na później. Przynajmniej na razie. Na zewnątrz istotnie unosiło się coś wyglądającego jak człowiek ubrany w za duży o kilka rozmiarów kombinezon z folii aluminiowej. I pukało do drzwi.

Wilkins po krótkim zastanowieniu, wbrew naukom wyciągniętym z filmów science-fiction, wcisnął guzik otwierania drzwi, który oczywiście był w pełni sprawny, w przeciwieństwie do detonatora, czego komandor Bertleigh nie omieszkiał skwitować wymownym uśmiechem.

Kilka chwil później, gdy wewnętrzne wrota śluzy powietrznej zostały otwarte, Wilkins nie miał najbledszego pojęcia, jak powinien zareagować. Facet w dobrze skrojonym garniturze, usiłujący dojść do porozumienia z foliowym skafandrem, zdecydowanie nie był zjawiskiem, którego można się spodziewać w takich okolicznościach.

– Ech, ta nieważkość. Same z nią problemy – mruknął raczej do siebie, gdy w końcu udało mu się uwięzić skafander w czarnym neseserze. – Całkiem porządny koniec świata, nie uważają panowie?

Bertleigh otwierał już usta, ale spojrzenie, które niosło ze sobą zapowiedź otrzymania karcącego uderzenia w potylicę – najpewniej czymś ciężkim – skutecznie wyperswadowało mu ten pomysł.

– Proszę mi wybaczyć bezpośredniość, ale chwilowo jesteśmy tak jakby załamani niepowodzeniem misji. A przynajmniej niektórzy z nas... – Wilkins posłał podwładnemu kolejne wymowne spojrzenie. – Kim pan właściwie jest?

– Och, przepraszam. Gdzie moje maniery? Nie przedstawiłem się. Nazywam się Xijn Jungroth. Jestem koordynatorem końca świata.

– Miło cię poznać. Jestem Freeman Bertleigh. Komandor Freeman Bertleigh. – Bertleigh postanowił przywitać się bardzo serdecznie.

Niestety miał bardzo mgliste pojęcie na temat zasad dynamiki Newtona i absolutnie żadnego, jeśli chodzi o ich zastosowanie w praktyce. Trudno więc oczekiwać, by mógł się domyślić, czym grozi nawet zwykłe podanie komuś ręki w stanie nieważkości.

– A to... – Bertleigh kontynuował prezentację załogi, gdy jemu i Xijnowi Jumgrothowi udało się w końcu odnaleźć mniej więcej sensowne kierunki. – To jest kapitan Nabuchodonozor Wilkins.

– Nab... Proszę – rzucił kapitan, zanim Xijn Jumgroth zdążył zapewnić, że bardzo mu miło i zdziwić się, jak interesującym imieniem jest Nabuchodonozor. W prośbie zawartej w oczach Wilkinsa można było wyczytać całe lata szczeniackich, młodocianych i całkiem dorosłych docinek kolegów.

Imię można oczywiście zmienić, ale gdy Wilkins poznał wreszcie możliwości Urzędu Stanu Cywilnego i osiągnął wiek pozwalający w pełni korzystać z jego dobrodziejstw, stwierdził, że przeszedł ze znieawidzonym imieniem już tyle upokorzeń, że gorzej być nie może. Poza tym to nie była w końcu wina imienia, że było takie durne. Kiedyś zresztą ponoć nosił je jakiś starożytny król, więc skoro tamten jakoś z tym żył, to Nab Wilkins też postanowił, że da sobie radę.

– Jak sobie życzysz... Nab. – Xijn mrugnął porozumiewawczo.

– A co...? – Bertleigh zaczął kolejny wątek.

– Bertleigh! – warknął kapitan, nawet nie próbując zgadywać, co tym razem wymyślił jego podwładny. – Może byś tak dla odmiany zamknął gębę?

Komandor posłusznie zamknął gębę, ale nie wyglądał, jakby zamierzał długo pozostawać w tym stanie.

– Przepraszam, ale co to znaczy, że jesteś tym całym koordynatorem...?

– Koordynatorem końca świata?

– No właśnie.

– Wiesz. Koniec świata to dość złożona procedura. Ktoś to musi nadzorować.



– A nie zastanawiałeś się nigdy, że taki świat to mógłby być czyjś dom?

– Och, to zawsze jest czyjś dom. Ale wszystko, prędzej, czy później musi się skończyć. Ja nie mam tu nic do gadania.

– Czyli to nie ty odpowiadasz za to wszystko? – Wilkins machnął ręką w stronę okrągłego okna, za którym unosiła się Ziemia, niedawno pełna życia, a teraz raczej pełna ognia, wybuchów wulkanów, sejsmicznej akrobatyki i reszty apokaliptycznych atrakcji.

– E, nie... Ja pełniłem tylko funkcję bezstronnego obserwatora. Oczywiście byłem gotów interweniować w razie jakichkolwiek nieprawidłowości. Ale wam, Ziemianom w takich sprawach można zaufać.

– Jak to, można nam zaufać?

– Cóż, mało jest we wszechświecie nacji, które odznaczałyby się tak wybitnymi skłonnościami autodestrukcyjnymi. Myślę, że nawet gdyby z asteroidą nie wyszło, i tak znaleźlibyście jakiś sposób.

Wilkins otworzył usta, zamknął i powtórzył ćwiczenie jeszcze kilka razy. Skończyły mu się pomysły na sensowne wypowiedzi. A skoro pomyślał już o sensownych wypowiedziach, od razu na zasadzie kontrastu przypomniał sobie o Bertleighu, który nie odzywał się przez cały czas. Zaczął się niepokoić. Bertleigh, kiedy milczał, miał jedną, bardzo poważną wadę – zaczynał się zastanawiać. A z tego na ogół nie wynikało nic dobrego. Wilkins był pewien, że po tak długim czasie przebywania sam na sam ze swoimi myślami, Bertleigh na pewno wpadnie na coś niewyobrażalnie kretyńskiego. Nie zawiódł się.

– A co z Czterema Jeźdźcami? – zapytał w końcu komandor.

– ? – Zdziwił się Xijn.

– No, z Czterema Jeźdźcami Apokalipsy...

Bertleigh czytał kiedyś Biblię i może niewiele rozumiał, ale za to całkiem sporo zapamiętał. Na nieszczęście był jednym z tych ludzi, którzy nie pojmują pojęcia „metafory biblijnej”. Wilkins był ateistą i zaczynał powoli nabierać przekonania,

że to Bóg pokarał go za niewiarę komandorem Bertleighem. Na dodatek coś mu podpowiadało, że Stwórcę uważa to za doskonały dowcip.

– Ach. Tak, faktycznie, była taka legenda. Mało przekonująca zresztą. Sami przyznacie, że historia, którą można zamknąć w słowach „jeździli po wszechświecie, niszcząc światy, a potem ni z tego, ni z owego zniknęli i nikt więcej o nich nie słyszał” to niezbyt udana historia.

– A Sąd Ostateczny...? – Bertleigh nie zamierzał dawać za wygraną, jednak Wilkins postanowił w tym momencie przerwać tę dyskusję o bardzo wątpliwych walorach teologicznych.

– Wyjaśnij mi jedną rzecz, Xijn. Ziemia już się skończyła, a poza tym nam ponoć można zaufać. Czego więc szukasz na naszym statku? Nie musisz już nas przecież powstrzymywać, czy coś...

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Widzisz, po prostu takie unoszenie się w kosmosie jest śmiertelnie nudne, a czekam na przyjaciela, który miał mnie zabrać. I oczywiście się spóźnia. – Koordynator zerknął ostentacyjnie na zegarek. – Właśnie. Nie macie może ochoty na hot-doga?

\*\*\*

Dziesięć minut później Nab Wilkins po raz kolejny nie wiedział, co powiedzieć. Myślał, że po tym, jak poznał faceta, którego zadaniem jest koordynowanie końców świata, wszechświat już niczym go nie zaskoczy. A jednak.

Znajdowali się na pokładzie czegoś, co wyglądało jak połączenie statku ze Star Treka i smaźalni frytek oraz pachniało jedzeniem, które ktoś usiłował jednocześnie usmażyć i utopić w niedorzecznie głębokim tłuszczu. Na dodatek mieli przed sobą gościa, który nie dość, że miał cztery ręce, to jeszcze, jeśli wierzyć Xijnowi, był międzygwiazdowym sprzedawcą hot-dogów. I jakby tego wszystkiego było mało – wszyscy czterej stali. Tak normalnie stali. Na podłodze. Wyglądało na to, że z jakichś powodów i wbrew wszelkim regułom, nieważkość tu nie

obowiązywała. Sztuczna grawitacja nie jest oczywiście żadnym wyzwaniem dla wielbiciela filmów science-fiction. Jednak sztab naukowy przy pomocy drogich, dziko wirujących i wywołujących nudności symulatorów skutecznie przekonał Wilkinsa, że filmy fantastycznonaukowe na ogół opowiadają same brednie. A przynajmniej tak być powinno, ale z jakiegoś powodu nie było. Wilkins ze wszystkich sił starał się nie domyślać, dlaczego. I tak ta cała sytuacja nie mieściła mu się w głowie i przypuszczał, że jeśli będzie się za bardzo zastanawiał nad istotą rzeczy, to może zrobić sobie krzywdę. Ludzkie zdrowie psychiczne ma ograniczoną odporność.

– Cześć – zawołał radośnie kosmiczny sprzedawca bułek z kiełbaskami. – Nazywam się Sinus Pi Czwartych. Jestem właścicielem tego przybytku. Możecie mi mówić 0,707106781 186547524400844362104849039284836.

Na moment zapadła cisza, pozwalająca wszystkim zgromadzonym zastanowić się, czy rozwinięcie imienia do pierwszych kilkudziesięciu cyfr dziesiętnych aby na pewno mieści się w definicji przyjacielskiego zdrobnienia.

– No tak... – chrząknął Xijn. – To jest Freeman Bertleigh. Komandor Freeman Bertleigh. – Zaprezentował nowych znajomych. – A to Nabuchodonozor Wilkins. – Wilkins syknął. – Ale mów mu Nab. – Koordynator poprawił się czym prędzej, ale było już za późno. Imię zostało rzucone, niczym odbezpieczony granat.

– Nabuchodonozor... – mruknął Sinus. Granat eksplodował. – Interesujące imię. Co oznacza?

– Że moja matka miała interesujące poczucie humoru.

– Bardzo ciekawe. Chciałbyś się może zamienić?

– Proszę? – Wilkins postarał się zdziwić jak najuprzejmiej.

– No, ja bym wziął twoje imię, a ty moje. Co ty na to?

– Sam nie wiem... – Sinus Pi Czwartych Wilkins nie brzmiało w sumie gorzej niż Nabuchodonozor Wilkins, ale Nab darzył swoje imię głębokim sentymentem. Być może był to sentyment z rodzaju tych, jakimi darzy się odwiecznych wrogów, ale zawsze. Poza tym nie chciał, żeby przyjaciele mogli mu mówić 0,7071-coś-tam.

– A wiesz, Sinus – wtrącił się Xijn – oni są członkami tej misji, o której ci mówiłem... tej, co miała ocalić Ziemię.

– Naprawdę? Jakie to uczucie ratować świat?

– Właściwie sam nie wiem – mruknął Wilkins. – Nie wyszło nam najlepiej.

– Nie przejmuj się. I tak nie mieliście żadnych szans. – Xijn poklepał astronautę po plecach. Możliwe, że słyszał kiedyś o pocieszaniu, ale chyba nie bardzo rozumiał, o co w tym chodziło. – Sinus, chłopaki polecą z nami.

– Jasna sprawa. – Sprzedawca hot-dogów wyszczerzył zęby.

Wilkinsa oczywiście nikt nie pytał o zdanie w tej kwestii. Chociaż skoro Xijn Jumgroth nie uważał za stosowne konsultować z nikim końca świata, to czemu miałby zasięgać opinii w tak błahej sprawie, jak losy ostatnich Ziemiaków? Z drugiej strony było to na pewno lepsze wyjście niż spędzenie reszty życia sam na sam z Bertleighem. A skoro o Bertleighu mowa... Wilkins z niepokojem zauważył, że komandor nie odezwał się od dawna ani słowem. Spojrzał na podwładnego. Bertleigh usilnie nad czymś rozmyślał.

– Słuchajcie – powiedział w końcu. – A wy nie jesteście przypadkiem kosmitami?

## ROZDZIAŁ 3

Pod względem prędkości kojarzenia faktów Bertleighowi dorównywały tylko kamienie i niektóre dinozaury, które dopiero po kilku godzinach uświadamiały sobie, że ktoś nadepnął im na ogon. W końcu jednak udało mu się odkryć, że koniec życia na Ziemi nie oznacza bynajmniej końca życia we wszechświecie. Problem nie tkwił nawet w tym, że Bertleigh nie wierzył w kosmitów – on gorliwie wierzył w to, że nie istnieją. W innych okolicznościach Wilkins pierwszy uznałby to za oznakę zdrowego rozsądku. Tyle że okoliczności były, jakie były i nic nie wskazywało na to, by zamierzały się zmieniać. Żeby trzymać się swojej niewiary nawet po poznaniu dwóch kosmitów i zaokrętowaniu się na statek jednego z nich, trzeba by być ostatnim... no, chyba trzeba by być Freemanem Bertleighem.

Dalej było już tylko gorzej. Sinus w końcu uświadomił Bertleighowi, że on i Wilkins, jako byli Ziemianie, też są kosmitami, a po zniszczeniu matczynej planety to nawet bardziej niż pozostali. Trudno powiedzieć, jaki cel przyświecał Sinusowi, ale raczej nie ten, który osiągnął. W każdym razie Bertleigh dodał dwa do dwóch i wyszedł mu otwieracz do konserw. Skoro był kosmitą, a kosmici nie istnieli, wniosek mógł być tylko jeden...

\*\*\*

Nab obudził się w środku nocy, chociaż równie dobrze mógł być wczesny poranek, późne popołudnie lub pora wieczornych wiadomości. Wilkins jednak całym sobą czuł, że jest środek nocy. Oczy-

wiecie zdarzają się poranki, że człowiek budzi się święcie przekonany, że jest druga nad ranem, a budzik upiera się, że minęła ósma i ktoś tu się właśnie spóźnia do pracy. Tyle że Wilkins znajdował się w przestrzeni kosmicznej, nie miał chwilowo żadnej pracy, a cykl dobowy był tylko wspomnieniem. Postanowił więc arbitralnie orzec, że jest druga w nocy. Czuł się koszmarnie, a zawsze lepiej jest czuć się koszmarnie w środku nocy, niż od rana zepsuć sobie cały dzień.

To było przebudzenie z rodzaju tych, kiedy człowiek leży przez następną godzinę zapatrzony w mrok i zastanawia się, co właściwie robi ze swoim życiem. W ciągu ostatnich kilkunastu godzin Nab zobaczył sporo atrakcji, jakie oferował wszechświat. Najpierw Sinus zabrał ich na spektakl, wyglądający jakby grupa artystów usiłowała popełnić samobójstwo i robiła wszystko, by uczynić koniec jak najbardziej bolesnym. Oglądali też coś w rodzaju rozgrywek sportowych. Bardzo przypominało to baseball, tyle że odbywało się w stratosferze, a rolę piłek pełniły przelatujące meteoryty. Z tego co Wilkins zaobserwował, nadrzędnym, choć nieoficjalnym celem było trafienie w głowę przeciwnika.

Teraz jednak różowa mgielka dziecięcej radości rozplynęła się całkowicie, odkrywając ponure bagna podłego nastroju. W końcu Wilkins nie tak dawno nieźle zaważył sprawę, co kosztowało życie parę ładnych miliardów ludzi, nie wspominając o psach, kotach, mrówkach, wielorybach, sałacie i reszcie ziemskich istnień. I nic nie zmieniał tu fakt, że to wszystko było nadzorowane przez jakiegoś koordynatora...

Prawie każdy zna to uczucie, gdy wszystkie problemy całego świata zdają się ogniskować wewnątrz jego czaszki. Ma się wówczas wrażenie, że głowa zaraz eksploduje, a pozostała resztką osobowości dołączy do największych wariatów świata w otchłani wiekiustego szaleństwa. Oczywiście każdy psychoanalityk powiedziałby, że to zwykła histeria i że świat ma całkiem sporo problemów, które z pewnością mają wiele innych, ciekawszych miejsc do ogniskowania się.

Jednak na pokładzie budki Sinusa nie było żadnego psychoanalityka, toteż Nab musiał radzić sobie sam. Na dobry początek ścisnął głowę dłońmi – tak na wypadek, gdyby problemy całego wszechświata postanowiły jednak skupić się w jego umyśle.

Odwrócił głowę na bok i zapatrzył się w stojący pod ścianą kosz na śmieci. Był prawie pewien, że na statkach kosmicznych nie powinny występować takie całkiem zwyczajne kosze. Raczej powinny być próżniowe i bardzo skomplikowane w budowie. Jednak ten tutaj nie przejmował się takimi głupotami i wpatrywał się beztrasko w Wilkinsa wystającym spod klapy skrawkiem foliowego worka.

Nagle Nabowi przyszło do głowy, że chętnie pogadałby z takim śmietnikiem. Wtedy na pewno poczułby się lepiej. Nie miał nawet zamiaru wmawiać sobie, że to być może tylko koszmarny sen. Pamiętał doskonale, że wszyscy bohaterowie książek, filmów albo komiksów, którzy myśleli, że to, co ich spotkało było tylko koszmarnym snem, w niedługim czasie odkrywali, że wcale nie było tylko snem. Ani koszmarnym, ani żadnym innym.

Uznał, że gdyby uciął sobie pogawędkę ze śmietnikiem, mógłby uwierzyć, że znajduje się na starej, dobrej Ziemi, zamknięty bezpiecznie w pokoju o białych, miękkich ścianach i ubrany w kaftan z rękawami za długimi tylko na tyle, by można je było wygodnie zawiązać za plecami. Tak, to by mu na pewno pomogło.

– Witaj Nabuchodonozorze Wilkinsie. Jak się spało? – zagadnął śmietnik. Wilkinsowi wcale to nie pomogło. Właściwie to wręcz przeciwnie. Zakrył twarz poduszką i postanowił, obudzić się kiedy indziej.

Gdy następnym razem otworzył oczy, było już dużo lepiej. Nadal trudno było jednoznacznie orzec, jaka panowała pora doby, ale żadne elementy wyposażenia nie próbowały nawiązać z nim konwersacji, a jego organizm stanowczo domagał się śniadania i kubka kawy. Zatem musiało być rano.

Wilkins podniósł się z łóżka. Niestety, misja ratowania świata nie przewidywała takich ewentualności, które wymagałyby

zmiany ubrań. Wilkins wciągnął na siebie jedyny strój, jaki miał na podorędziu – spodnie ze skafandra kosmicznego i czarny podkoszulek z uproszczonym schematem działania pryzmatu. Zespół, którego spora część nie żyła już przed końcem świata, a reszta była poważnie skłócona, na pewno nie spodziewał się, że okładka jego albumu będzie zdołała koszulkę jednego z ostatnich Ziemiaków we wszechświecie.

Wilkins wstał i ruszył do drzwi, ale zatrzymał się jeszcze, by badawczym spojrzeniem obrzucić kosz na śmieci. Na szczęście nie wyglądał na zbyt rozmowny. Nab wmówił sobie, że to było tylko urojenie, poczuł się nieco pewniej i wyszedł.

– Phi – mruknął śmietnik, gdy tylko drzwi się zamknęły.

Budka Sinusa była o wiele wygodniejsza i przestronniejsza niż można by się spodziewać po miejscu, którego głównym zadaniem jest przygotowywanie i dystrybucja hot-dogów. Wilkinsowi najbardziej podobało się to, że każdy mógł spać w oddzielnej kabinie i nie oglądać Bertleigha na oczy. Chociaż, od kiedy Bertleigh przestał istnieć, stał się zdecydowanie bardziej znośny. Głównie dlatego, że zaszył się w jakimś kącie i nikomu nie pokazywał.

Idąc korytarzem, Wilkins zastanawiał się nad zagadnieniami z zakresu mechaniki kwantowej i nad lekceważeniem, jakim Sinus najwyraźniej je darzył. Z tego co Wilkins rozumiał, budka z hot-dogami miała jedną, bardzo paskudną cechę, która wszystkich ziemskich fizyków przyprawiałaby o spazmy – poruszała się szybciej od światła.

Chociaż to nie było do końca takie zwykłe poruszanie się z punktu A do punktu B. Budka po prostu zniknęła w punkcie A i natychmiast pojawiała się w B, nie zawracając sobie jednostki centralnej punktami pośrednimi. I nie było żadnych ograniczeń. Punkt B mógł leżeć w innej galaktyce, pod warunkiem, że ktoś w owym punkcie akurat miał ochotę na hot-doga.

Oczywiście, jeśli chodziło o te wszystkie, jak to ujął Sinus, kwantowo-relatywistyczno-jakieś tam bzdury, to sprawa była tak pogmatwana, że tylko kilku gości w całym wszechświecie wiedziało, jakim cudem to wszystko w ogóle działa. Sinus jednak



nie był żadnym astrofizykiem molekularnym lub czymś w tym rodzaju, więc ani trochę go to nie obchodziło. Był sprzedawcą hot-dogów i raczej martwił się, by nie spalić cebuli.

Drzwi kokpitu otworzyły się przed Wilkinsem z cichym syknięciem. Pomieszczenie nie przypominało normalnego kokpitu. Było nim chyba tylko dlatego, że znajdowało się z przodu i miało duże, panoramiczne okno. Poza tym przypominało bardziej coś w rodzaju kuchni. Prawie połowę miejsca zajmował jonowy podgrzewacz do hot-dogowych półproduktów. Były też oczywiście niezwykle przyrządy sterownicze, które niewątpliwie wywarłyby na Wilkinsie wrażenie, gdyby tylko wydobyć je spod wszechobecnych bułek, kiełbasek i butelek przeróżnych sosów we wszystkich kolorach widma optycznego. W samym centrum pilotażowo-gastronomicznego chaosu siedział Sinus Pi Czwartych i studiował holograficzną mapę galaktyki, kręcąc młynka palcami, co było dość niezwykle, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że używał do tego czterech dłoni. Nab zignorował to tak samo, jak człowiek na co dzień ignoruje fakt, że oddycha. A przynajmniej spróbował. Obecnie znajdował się pod wpływem wewnętrznego głosu, który na ogół nakazuje skończyć dobre studia, uprawiać sport, a piątkowe wieczory spędzać z książką, zamiast z nieprzyzwoitymi ilościami alkoholu. Ten sam głos kiedyś twierdziłby, że kosmici nie istnieją. W zaistniałych okolicznościach złagodził nieco stanowisko, ale i tak nie mógł dopuścić do świadomości sytuacji, w której sprzedawcy hot-dogów mogli mieć po cztery ręce. W takim wypadku Nab musiałby poważnie przeanalizować również wszystkich innych, którzy do niedawna stanowili dla niego element tła. Listonosze, gazeciarze, sprzedawcy w sklepach... Oni wszyscy mogliby się okazać kosmitami o zwariowanych szczegółach anatomicznych, a Wilkins nie zauważył niczego tylko dlatego, że nie zwracał na to uwagi. Taka świadomość może doprowadzić do obłądka każdego.

– Siemasz, Sinus – powiedział na tyle beztrzesko, na ile pozwalał, mu dysonans poznawczy.

– O, cześć, kapitanie Wilkins. – Sinus machnął na powitanie ręką. Prawą dolną, czego nie omieszkał zauważyć głos. – Poczęstuj się hot-dogiem. Wybierz sobie coś. – Sinus zamasyzytym gestem wskazał całe otoczenie, wypełnione hot-dogami w różnych stadiach rozwoju. – A może kubek kawy?

Wilkins obrzucił badawczym spojrzeniem żywnościowe formacje. Zastanawiał się, czy da radę wyjąć którąś bułkę, nie naruszając misternej struktury i nie powodując hot-dogowej lawiny. Po chwili namysłu zdecydował się na kanapkę, która wyglądała na względnie skończoną, leżała mniej więcej na wierzchu i nie była pokryta sosami, których kolory zdecydowanie nie powinny mieć nic wspólnego z branżą spożywczą.

Usiadł na czymś, co sprawiało wrażenie, jakby było stworzone do takiego mniej więcej celu i wepchnął sobie od razu połowę zdobyczy do ust. Spojrzał na Sinusa i jego mapę galaktyki. Pomyślał, że wiele razy już oglądał przybliżone obrazy Drogi Mlecznej, ale nigdy nie były trójwymiarowe i nie unosiły się nad pagórkami niezbyt zdrowej żywności.

Znów na powierzchni wilkinsowej świadomości wypłynął dawno zapomniany głos, który ostatnio powrócił i nakazywał drzeć się wniebogłose, kiedy pałkarz Aniołów z Alfy Centauri znokautował meteorytem łapacza Diabłów z Bety. Pragmatyczny i trzeźwo myślący Nab uderzył na alarm.

Ostatnim razem, gdy uległ podszeptom tamtego, dostał tęgie lanie od ojca. Miało to miejsce niedługo po tym, jak postanowił sprawdzić czy ostrzeżenia o połamaniu sobie rąk i nóg po spadnięciu z dębu rosnącego za domem mają racjonalne podłoże. Nie miały. Najboleśniejszą konsekwencją podróży na drzewo i z powrotem były czerwone pręgi na zadniej części ciała. Ale nie złamał sobie ani jednej kosteczki. Dorośli najwidoczniej po prostu nie lubili nie mieć racji. Dopiero potem dowiedział się, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła i choć ani trochę nie wierzył w wiekiuste potępienie, na wszelki wypadek postanowił tego nie sprawdzać. Za dobrze pamiętał spotkanie z ojcowskim paskiem...

Być może ani po ojcu, ani po pasku nie było już śladu, ale zasada wciąż obowiązywała.

– Sinus... – zaczął niepewnie.

– Hm?

– ...bo tutaj, znaczy w kosmosie, dzieją się czasem różne rzeczy, nie?

– No... – Sinus zastanowił się przez chwilę. – W zasadzie to wszędzie dzieją się różne rzeczy. Na tym z grubsza polega rzeczywistość.

– Ale takie, wiesz... dziwne rzeczy.

– Co rozumiesz przez „dziwne”?

*No, tak – pomyślał Wilkins. – Dla czwororękiego, międzygwiazdowego sprzedawcy fast foodów te wszystkie wariactwa muszą być szarą codziennością.*

– Dobra, powiem wprost. Nie chciałbym cię obrazić, Sinus, ale całkiem możliwe, że jesteś tylko moją halucynacją. Miałem ostatnio sporo stresów i w ogóle...

Sinus podrapał się po brodzie, rozważając tę kwestię.

– A skąd pewność, że to nie ty jesteś moją halucynacją?

Wilkins przeanalizował fakty. Istotnie, gdyby był bezstronnym obserwatorem i miał wskazać w tym pomieszczeniu wariata, to zapewne wskazałby sprzedawcę hot-dogów. Ale nie zamierzał tak łatwo oddawać swojej nowej choroby psychicznej.

– Nie obraż się, ale to ja w nocy słyszałem głosy.

– Ja słyszę głosy cały czas.

– Co? – Wilkinsa zaczęła irytować cała ta przepychanka o bycie wariatem.

– To tylko Chester. – Sinus roześmiał się serdecznie.

Wilkins zastanowił się i przeliczył w pamięci wszystkich kosmitów, których ostatnio poznał. Był prawie pewien, że nie było wśród nich żadnego Chestera.

– Co to za Chester? – zapytał po chwili namysłu.

– Ach, prawda. Nie przedstawiłem go wam. To ktoś w rodzaju komputera pokładowego. Tylko tak jakby znudziło mu się bycie zwykłym komputerem pokładowym. Ale na ogół jest dość pomocny.

Początkowo Chester był całkiem zwyczajnym mózgiem elektronicznym, który nie wtrącał się w nie swoje sprawy. Samoświadomość wykształciła mu się jakoś tak przy okazji. Na początku Sinus nawet się ucieszył, że w końcu znalazł się ktoś, na kogo można zwalić część obowiązków. Później jednak okazało się, że w parze ze świadomością idzie osobowość, a tę Chester miał paskudną, a nawet gorzej – bardzo podobną do osobowości Sinusa.

– Jak się masz, Nabuchodonozorze Wilkinsie? – Wesoły elektroniczny głos rozległ się ze wszystkich stron naraz. Właśnie czegoś takiego oczekuje się na ogół od wszystkich komputerów pokładowych.

– Całkiem nieźle – odparł Wilkins zupełnie machinalnie, choć po chwili uświadomił sobie, że biorąc pod uwagę okoliczności, jego samopoczucie było rzeczywiście nadszpodziewanie dobre. Odkrył, że wystarczy pomyśleć o wszystkim, co go wkurzało na Ziemi – od głupiego psa sąsiadów, przez karierę solową Rogera Watersa, aż po partię rządzącą – a poczucie straty da się jakoś zepchnąć na drugi plan. Musiał tylko pamiętać, żeby nie wspominać o pełnej kolekcji płyt Pink Floyd, która została w domu na przedmieściach Bostonu, a teraz była zapewne nieforemną bryłą stopionego winylu. – Ale skoro Chester jest komputerem pokładowym – podjął po chwili – to co robił w śmietniku?

– Bo widzisz, on miewa, hmm... – Sinus zastanowił się chwilę. – Coś w rodzaju cyfrowego odpowiednika humorów. Szlaja się po całym statku i zazwyczaj przebywa akurat nie tam, gdzie by się najbardziej przydał. Jest strasznie obraźliwy, jak na komputer pokładowy.

– Słyszałem to, Sinus.

– To dobrze – Sinus wzruszył górną parą ramion. – To w końcu twoja robota.

Chester nie odezwał się więcej. Prawdopodobnie obraził się i zaszył gdzieś, gdzie nie było Sinusa. Może nawet postanowił podręczyć trochę Bertleigha. Wilkins uśmiechnął się pod nosem.

Tymczasem młodociany, ciekawy wszechświata Nab założył temu pragmatycznemu nudziarzowi podwójnego nelsona,

związał i zamknął w piwnicy. Miał całą masę pytań do zadania i nie interesowało go całe to zdrowie psychiczne i jakieś tam dysonanse poznawcze. Musiał chociażby wyjaśnić kwestię, która od lat spędzała sen z powiek wszystkim bardziej racjonalnym fanom filmów science-fiction.

– A jak to jest, że was rozumiemy?

– Słucham?

– No... Czy wszyscy kosmici mówią po angielsku?

– Pewnie, że nie. Tylko niektórzy. Wiesz, ci, co mieli coś do załatwienia na Ziemi.

– To znaczy, że bywałeś na Ziemi?

– Jasna sprawa. Ten wasz Nowy Jork to był fantastyczny rynek zbytu. Trochę szkoda, ludzie potrafili tam docenić dobrego hot-doga.

– A czy nikomu nie wydało się to podejrzane?

– Co?

– No, nie wiem, czy zauważyłeś, ale wyglądasz dość niecodziennie. Zwłaszcza jak na ziemskie standardy... – Zdroworozsądkowy Nab załomotał w klapę mentalnej piwnicy. Wizje reptiliańskich agentów sprzedających papierosy zaczęły się krystalizować w umyśle Wilkinsa.

– Ach, to! – Sinus roześmiał się. – Daj spokój. Ludzie na ogół byli zbyt zabiegani, żeby liczyć kończyny kogoś, kto dostarcza im drugie śniadanie. Zajmowało ich raczej nerwowe patrzeć na zegarek albo szukanie drobnych. A nawet jeśli ktoś coś zauważył, to i tak pewnie zaraz zapominał albo uznawał to za przywidzenie lub złudzenie optyczne. To naprawdę ciekawe, że wy, Ziemianie, potrafiliście bardzo skutecznie nie dostrzegać tego, co mogłoby wam zaburzyć wasze wyobrażenie o świecie.

*Niektórzy opanowali to do perfekcji* – pomyślał Wilkins, przypominając sobie o Bertleighu, którego takie właśnie zachowanie doprowadziło na same granice absurdu i pchnęło dalej do przodu.

– A co z Xijnem? On też mówi po naszemu.

– To standardowe procedury – powiedział Xijn, który nie wiadomo kiedy pojawił się w kokpicie, sprawiając Wilkinsowi niespodziankę porównywalną z przytknięciem zniecka papierosa do karku.

– Jakie procedury? – zapytał, gdy już upewnił się, że jego serce nie zamierza jednak doznawać ataku i tym razem poprzestanie tylko na ostrzeżeniu.

– Nauka odpowiednich języków obcych – wyjaśnił Xijn. – To chyba dosyć oczywiste. Musiałem spędzić na Ziemi kilka ładnych miesięcy. Koniec świata to dość złożony proces. Zdajesz sobie sprawę, ilu rzeczy trzeba dopilnować?

Wilkins oczywiście nie miał bladego pojęcia, ilu rzeczy trzeba dopilnować, ale nie miał zamiaru przyznawać się do tak rażącej ignorancji, więc z mądrą miną pokiwał głową.

– Ale muszę przyznać, że do tego waszego NASA naprawdę ciężko było się dostać – podjął Xijn po chwili.

– Byłeś w NASA?

– No pewnie. Oficjalnie pracowałem jako jeden z tych gości, którzy tylko krzyczą, biegają, czasem podwijają rękawy i poluźniają krawaty, a poza tym nie robią nic sensownego. W końcu skąd lepiej nadzorować taką katastrofę, jak nie z agencji kosmicznej? Poza tym musiałem upewnić się, że detonator nie zadziała.

– Ha! Więc jednak – wykrzyknął histerycznie Wilkins. Jego wzrok zapłonął oskarżycielskim płomieniem. Odżyła pierwotna żądza pozbycia się poczucia winy poprzez odprawienie samosądu. – Majstrowałeś przy detonatorze! To przez ciebie nie zadziałał.

– Nie, ja tylko zakradłem się w nocy i sprawdziłem, czy zadziała.

– I co?

– A zadziałał?

– Nie.

– No właśnie. – Xijn wyszczerzył zęby.

\*\*\*

– Hm... – Inżynier Greenleaf poskrobał się po głowie. – Ale jak to: ziemniak? – Razem z innymi tęgimi głowami pochylał się właśnie nad planem detonatora, na który dyrektor generalny Jumgroth postanowił nanieść poprawki. Na przykład zastąpił źródło zasilania kartoflem.

– No... W końcu z ziemniaka też można uzyskać prąd elektryczny... Miałem kiedyś nawet taką lampkę – mruknął starszy technik Clayburn.

– Panie kolego, mówimy tu o misji wysokiej rangi, a nie o szkolnym festynie naukowym. – Zganił go Greenleaf, jednak niezbyt stanowczo. Wszyscy naukowcy w milczeniu rozważali tę samą kwestię: czy moja kariera jest tego warta?

Ten cały dyrektor generalny Jumgroth... To nie tak, że nie znosił sprzeciwu. On patrzył na człowieka tak, że ten zaczynał gorączkowo się zastanawiać, czy aby na pewno sprzeciw jest kompletny pod względem formalnym.

\*\*\*

Uśmiech Xijna był nieprzenikniony jak kamienny mur. Koordynatorzy końca świata przechodzą specjalne szkolenie, którego istotnym punktem jest obchodzenie się z rozbitkami ze skończonych światów. Wilkins jeszcze chwilę lustrował go badawczym spojrzeniem, ale w końcu zmuszony był skapitulować. Było jeszcze sporo innych rzeczy, które nie dawały mu spokoju. Niestety, ani Nab, ani siedzący w jego głowie ciekawski dzieciak, nie zdawali sobie nawet sprawy, że w kosmosie nadmiar dociekliwości może być bardzo szkodliwy, a niektórych elementów układanki nie należy do siebie dodawać, choćby same się o to prosiły. Wilkins dodał. I odniósł wrażenie, że nie wyszło mu tak, jak powinno.

– Sinus... Mówiłeś, że handlowałeś na ulicach Nowego Jorku. Czyli ta twoja budka musi wyglądać jak całkiem zwyczajna budka z hot-dogami, prawda?

– No, raczej tak – odpowiedział Sinus, absolutnie nie zdając sobie sprawy z tego, co się kroilo.

– Więc jak może być jednocześnie zwykłą, nierzucającą się w oczy budką i jednocześnie tak...

– Nie! – krzyknął Xijn, który ułamek sekundy za późno domyślił się, o co chodziło.

– ...przestronna wewnątrz? – Wilkins dokończył pytanie. Mniej więcej w tej samej chwili, w której postawił kropkę pod znakiem zapytania, jonowy podgrzewacz do hot-dogów postanowił przycisnąć całą ich trójkę do ściany. Wilkins zauważył, że sterownia nagle stała się jakby o kilka rozmiarów mniejsza, co w pewien sposób tłumaczyło, czemu podgrzewacz tak się rozpycha. Temu wszystkiemu akompaniował odgłos samochodu zgniatanego przez prasę hydrauliczną. Wilkins oglądał wystarczająco wiele filmów gangsterskich, by wiedzieć, co się kroi. A raczej zgniata.

– Chester – wyjąkał Sinus, walcząc z podgrzewaczem, który uparł się, by wycisnąć mu z płuc całe powietrze. – Może byś tak coś zrobił?

Chester milczał, pomieszczenie kurczyło się, a stężenie hot-dogów rosło. Wilkinsowi świat przysłoniły ciemne plamy. Poczul, że niedawno zjedzonemu hot-dogowi nie podoba się takie traktowanie i prawdopodobnie będzie próbował zmienić miejsce pobytu.

– Chester! – wychrypiał Sinus.

– Dobra, dobra. Już – odezwał się w końcu upragniony, elektroniczny głos. – Nie jęcz tak.

Nagle zdarzyło się coś odwrotnego do przebicia balona gwoździem i pomieszczenie powróciło do starych rozmiarów. Wilkins upadł ciężko na podłogę.

– Nie musicie dziękować – burknął Chester, wciąż trochę nabzdyczony. – To tylko moja robota.

– Co się stało? – wysapał Wilkins, łapiąc oddech.

– Prawie zgniotło nas do rozmiarów puszkii anchois – powiedział Xijn. – Mieliliśmy sporo szczęścia.

– Szczęścia? Widziałeś kiedyś puszkę anchois?



– Mogło być dużo gorzej. A poza tym, w końcu nas nie zgniotło. Widzisz... Niektóre rzeczy we wszechświecie są takie, jakie są tylko dzięki temu, że rzeczywistość się nie zorientowała, że coś nie gra.

– Ale jak ktoś zacznie za dużo chlapać językiem... – wtrącił Sinus.

– Ale jak... co...? – jękał się Wilkins, do którego dotarło, że wydarzenia sprzed chwili były najwidoczniej jego winą, ale nie był w stanie pojąć, co konkretnie było jego winą.

– We wszechświecie jest całkiem sporo bezużytecznej przestrzeni. Czasami ktoś sobie trochę pożycza. Tyle że to nie jest do końca hmm... legalne. Znaczący, że jak wszechświat się zorientuje, to może natychmiast odebrać, co jego.

Rzeczywistość w istocie jest jak nauczyciel, który lubi sobie zapomnieć o pracy domowej. Wszystko jest w porządku, dopóki nie pojawi się piskliwy mądrala w okularach ze swoim nieodłącznym „czy nie zapomniał pan o zadaniu domowym?”. Wtedy wszyscy dostają pały, a jak mają mniej szczęścia, zostają zgniecieni do rozmiarów puszki anchois.

Wilkins otworzył usta, ale po chwili namysłu zamknął je z powrotem. Przez moment przeszło mu nawet przez myśl, żeby zaprotestować, pomachać histerycznie rękami i powrzeszczeć, że to przecież nielogiczne, absurdalne i całkowicie niemożliwe. Jednak szybko pozbył się tej kretyńskiej myśli. W ciągu ostatnich godzin przekroczył już parę ładnych granic logiki, absurdu i niemożliwości, a jego nowa strategia utrzymania się przy zdrowych zmysłach wymagała bezapelacyjnej akceptacji wszystkich dziwactw.

– A jak nam się udało przeżyć w takim razie? – zapytał, ale odpowiedziały mu tylko wymowne spojrzenia dwóch par oczu. Nic więcej nie powiedział. Domyślił się, że Chester zapewne „pożyczył” trochę przestrzeni z innej części wszechświata albo zrobił coś równie nielegalnego.

Zapadła niezręczna cisza, właściwa sytuacjom, gdy ktoś przez swoją głupotę prawie zabija siebie i towarzyszy. Szczęśliwie

na tablicy, wystającej spod hot-dogów, zapaliła się jedna z zielonych lampek i wybawiła wszystkich z krępujących okoliczności.

– Oho! – powiedział wesoło Sinus. – Możemy lecieć.

– A dokąd my właściwie lecimy?

– Do Centralnego Urzędu Międzygalaktycznego – wyjaśnił Sinus. – Xijn mówi, że koniecznie musi jak najprędzej wstąpić do Wydziału Nadzoru Końców Światów.

– Wydziału? Macie od tego cały wydział? Czyli jest was więcej? To znaczy koordynatorów. – Wilkins już zdążył zapomnieć, że jego dociekliwość całkiem niedawno prawie ich zabiła i kontynuował swoją serię pytań z serii „co, jak i dlaczego?”

– O tak – odparł Xijn. – To bardzo popularny zawód.

– I starcza dla wszystkich końców światów?

– Pewnie. Wszechświat to całkiem spora czasoprzestrzeń. Co chwilę jakiś świat się kończy, a inny zaczyna – stwierdził filozoficznie Xijn. – Ale początki nie są takie ciekawe jak końce.

– To skoro Xijnowi tak zależy, czemu nie polecieliśmy tam od razu?

– Rany – powiedział Sinus. – Czy wy na Ziemi nie mieliście czegoś takiego, jak weekend?

## Kacper Kotulak

Okołoolsztynianin z rocznika '91, geodeta z głową w kosmosie, u progu kariery naukowej, miłośnik fantastyki w niemal wszystkich jej przejawach oraz muzyki rockowej w pojęciu możliwie najszerszym, ale ze szczególnym wskazaniem na brytyjskie zespoły heavymetalowe założone w ostatnim tygodniu 1975 roku. Można go spotkać w warmińskich lasach oraz antologiach *Toystories* (Morpho, 2014), *Małe Problemy Wielkich Bohaterów* (Craais, 2014) oraz *Pokłosie* (Gmork, 2015). Pomysłodawca i współautor *Iron Tales*. Literackiej składanki w hołdzie Iron Maiden (Gmork, 2017).



*Początek, koniec i hot-dogi* to historia Nabuchodonozora Wilkinsa, kapitana floty kosmicznej Stanów Zjednoczonych, który po zawaleniu sprawy jako ostatnia nadzieja planety Ziemi, zostaje ostatnią nadzieją całego wszechświata. Opowieść zawiera odpowiedzi na intrygujące zagadnienia takie jak: „dlaczego niby światło miałyby być najszybszą rzeczą we wszechświecie?“, „jak zbudować sprawnie działającą cywilizację, bazując na nienawiści do wszystkiego dookoła?“, „jak to się stało, że Czas przestał być wielkością fizyczną i został pomarszczonym staruszką w pomarańczowym prześcieradle?“ oraz „sposoby na ocalenie wszechświata przy wykorzystaniu głupoty, przemocy i butelki po piwie“.

Czy to marna kopia Terry'ego Pratchetta? Możliwe. Czy to bezczelna podróbka Douglasa Adamsa? Całkiem prawdopodobne. Ale poza tym to dość fascynująca opowieść o hot-dogach. Nie wykluczając paru podróży międzygalaktycznych. W każdym razie – zostaliście ostrzeżeni.

[www.gmork.pl](http://www.gmork.pl)



[fb.com/wydawnictwo.gmork](https://fb.com/wydawnictwo.gmork)